

Die 5 augusti

Więzienie starościńskie w Samborze

Godzina 11 przed południem

Do lochów pod tarasem Jacek zszedł dwa dni później, ściskając w rękę rozkaz na piśmie, w którym Dymitr, a nade wszystko pan starosta samborski Mniszech uwalniał od kary miecza Moskala Borysa Oboleńskiego. W zanadrzu ukryty miał dodatkowy atut, gdyby rozmowa z więźniem miała pójść na opak – Niedźwiedzi Chrest. Dydyński chciał go użyć, choćby miało zapaść się niebo.

Ktoś ważny był u Moskala, bo przy drzwiach celi ujrzał zamkowych hajduków; zbyt wielu, by pilnowali więźnia – raczej strzegli kogoś, kto przyszedł złożyć mu wizytę. A kiedy wszedł do celi, zrozumiał, że właśnie przegrał kolejną bitwę w batalii o carskie fawory i znalezienie tajemnych wrogów Samozwańca.

Maryna stała przy Borysie bladym jak chusta zerwana z czoła śmierci, leżącym na łożu jak ranny dzik, z ramionami

i rękoma spowitymi grubymi zwojami szarpi. Nadworny medyk Mniszchów odwijał płótna, smarował opuchnięte członki więźnia maścią śmierdzącą jak trzydniowy umrzyk. Dydyński wolał się nie domyślać, co wchodziło w jej skład.

I wtedy stało się coś, o co Jacek nigdy nie podejrzewałby Borysa. Moskiewski niedźwiedź, który, zda się, potrafiłby pokruszyć w mocarnych rękach każdego Lacha, jaki stanąłby na jego drodze, podniósł głowę, pochylił się ku rączce wojewodzianki, a potem powoli i ostrożnie złożył pocałunek na dłoni Maryny.

– I błahosławiena ty carica – powiedział cicho, żałośnie. – Preswiatuju, preczustuju, prebłahosłowiennuju Marynu, so wsiemi swiatymi pomianuwsze sami siebie i druh druha i wieś żywot twój Christu Bohu predadim. Proszczenia i ostawlenija grechow i pregresznij twoich u Hospoda proszu...

I wówczas zdało się panu Dydyńskiemu, że dwie łzy stoczyły się po policzkach Moskala. Borys płakał? Doprawdy to było równie zdumiewające jak nagle nawrócenie sułtana tureckiego na wiarę chrześcijańską.

Musiał przerwać tę sielankę. Jego cień padł między nich, przerywając ceremonię, a może i amory. Czyżby Maryna wdzięczyła się do Borysa? Cóż, jeśli nawet, to przecież nie ze zwykłej litości, lecz z wyrachowania.

Jeśli wojewodzianka była w tym lochu wcieleniem Dziewicy Maryi i dobrym aniołem, tak pan stolnikowic musiał jawić się Borysowi jak bies w stroju Lacha. I bardzo dobrze!

– Daj ci Panie Boże spokój i uzdrowienie – rzekła Maryna cicho i powabnie, kładąc rękę na mokrym czole Borysa. Moskal przymknął oczy, a pan Dydyński zacisnął dłonie w pięści. Do stu fur czarcich ogonów, to było jasne, że przyszła wywieźć się, z jakich powodów Dydyński nalegał na darowanie życia Borysowi. Zapewne wypytywała też Moskala szczegółowo o sprawy związane z Dymitrem. I kto wie czy jej sposób nie okazał się skuteczniejszy od katowskich obcęgów.

– Mościa panno wojewodzianko! – rzekł szlachcic, zdejmując kołpak i kłaniając się dwornie. Nie wiedział, co Maryna

wie o nocnej potrzebie z jej dwórką Dorotą oraz jakie będą tego reperkusje. Gniew? Niełaska przyszłej carowej? A może, pochlebiał sobie, fascynacja mężczyzną, który pokazał nadobnej pannie, że nie tak łatwo okręcić go sobie wokół palca? – Dobrodziejko moja najmilsza. Czołem do nóżek ślicznych biję, usługi pokornie ofiarowuję. Dziwno mi ujrzeć cię tutaj. Czy pan ojciec... Czy Dymitr wie, że przyszedł do lochów?

– Jestem panią własnego losu, mospanie, i nie muszę spowiadać się nikomu, gdzie chodzę i co myślę. Dobrze byłoby, abyś waszmość pamiętał o tym, kiedy przebywasz u boku Dymitra. Mam wolną wolę i będę miała ją nawet wówczas, gdy zakujecie mnie w carskie, kremlowskie łańcuchy i sarafany.

Wie o wszystkim, co się stało w nocy, pomyślał ponuro Dydyński. Będzie wesoło...

Podawała mu rękę, wychodząc z brudnej i zatęchłej celi, a pan stolnikowic ujął ją, składając na wysmukłej dłoni szczerzy jak złoto pocałunek. Maryna dygnęła, zerknęła na niego zagadkowo, a potem znikła, pozostawiając Dydyńskiego z domysłami gryzącymi go niczym robactwo.

– Zostawcie nas samych! – rozkazał stolnikowic hajdukom.

Wyszli niechętnie, w ich wzroku wyczytał niedowierzanie i lęk. Widać nawet z wyłamanyymi członkami Borys budził w nich zabobonny strach. Dydyński jednak nie bał się go bardziej niż wołu powalonego celnym strzałem z hakownicy.

Na razie...

– Poznajesz mnie, z kurwy synu, Moskalu? Potomku diabła i babilońskiej ladacznicy?

Borys zmrużył oczy.

– Wiesz, co się z tobą stanie?

– Jeszcze nie potańcujesz z moją głową – mruknął Oboleński. – Za wstawienictwem preczystej jaśnie wojewodzianki Maryny na razie pozostanie na swoim miejscu.

– To nie Maryna, ale ja wybronilem cię od miecza. Rozumiesz polskie litery? Czytaj. – Zamachał przed nosem Borysa listem od Dymitra.

– I pewnie myślisz, Lasze, że powinienem być wdzięczny? – Moskal nawet nie spojrział na pismo. – Połączaj chuj za swoją rabotę! Bo jeśli dumaleś, że po tym wszystkim stanę się twoim sługą, tedy żyjesz w równym błędzie jak rzymski papa. Nie będę niczym rabem. Prędeż przegryzę ci gardło. Albo poszarpię sobie żyły!

– Będziesz mi służył wiernie jak pies – wycedził przez zęby Dydyński – co nie będzie dla ciebie niczym nowym, bo każdy z was, Moskali, rodzi się w łańcuchach. Będziesz rękodajnym, a kiedy każe – zatańczysz, jak ci zagrają. I schylisz kark, nosząc okowy z moim klejnotem rodowym. Klejnot to zwierzę, które zasiada na tronie w kremlowskiej pałacie! Bij mu czołem, psi synu, Moskalu!

Jednym ruchem wyrwał z zanadrza Niedźwiedzi Chrest i cisnął go Borysowi na pierś.

Oboleński spojrział na krzyż, a potem podniósł złe, czerwone oczy na Dydyńskiego. I bynajmniej nie było w nich psiej, moskiewskiej wierności; prędeż złość i może zaciekawienie, cóż takiego wymyślił prześladowca, aby zadać mu więcej cierpienia.

– Będziesz mi czołem bił jakoby carowi niebiesnemu, poteszytielowi naszemu – ciągnął Dydyński. – A kiedy bym chciał, abyś ze mną milę szedł, pójdziesz i dwie. Kiedy zechcę po grzbiecie twoim na koń siadać, nadstawisz mi karku. Gdy w opasności będę... własną pierś przed kulą mnie osłonisz!

Borys zmrużył oczy. Czyżby przypomniał sobie słowa listu? A może po prostu brał go gniew? Jeśli tak, to Jacek doprawdy był rad, iż kazał wyłamać mu ramiona ze stawów. Nie wiedział, co się stanie, i nie mógł domyślać się nawet, co zrobi Oboleński na widok tego heretyckiego krzyża.

Dydyński chwycił Chrest, podniósł go do ust, ucałował trzy jego ramiona ku czci Trójcy Świętej, a ostatnie – ku pamięci Marii Przczystej Dziewicy.

– Słowo! – wycharczał Borys. – Powiedz Słowo, co było na początku u Boha...

– Az jesm' s wami, i niktoże na wy – powtórzył Dydyński kawałek modlitwy, który usłyszał w karczmie od Waarłama.

Ręka Moskala wystrzeliła w stronę szlachcica. Borys jęknął, bo świeżo nastawione ramiona musiały sprawić mu równie okrutny ból co rozpalone widły wbite w bark. Lecz widać Moskwa była piekłem, zatem wytrzymał cierpienie, które zwykłego człowieka zmieniloby w pokręcony korzeń mandragory.

Zacisnął palce jak cęgi na lewym przedramieniu zaskoczono-
nego Jacka. Dydyński chciał złapać za szablę, ale nie mógł wy-
ciągnąć jej w ciasnocie. Zimna jak grobowy kamień, pokrwa-
wiona ręka powlokła go do barłogu skazańca. Do kroćset, jeśli
Borys zrobił to wszystko ręką ledwie nastawioną po strappado,
to co potrafił, będąc w pełni sił?!

– Usłyszałem Słowo, które wydaje się być prawdziwe – wy-
charczał Oboleński. – Ty wiesz, Lachu, jaka jest kara, jeśli ze-
łgałeś? Nasze wilki wyrwą ci żywcem duszę z piersi i zeżrą na
surowo.

– Puść! – ryknął szlachcic, szarpiąc się z rękonością węgierki.
Jelec szabli zaczepił o skraj lewego rękawa żupana; nim szlach-
cic zdołał go wyswobodzić, Borys spojrział mu prosto w twarz.

– Znasz Słowo... – wycharczał. – Masz Chrest! Wiesz, jak
złożyć pocałunek. Ty... Ja...

Ręka, którą uciskał niemiłosiernie lewe ramię Jacka, zady-
gotała. Dydyński poczuł, jak palce Moskala trzymające go ni-
czym szpony jastrzębia kuropatkę, a raczej – zważywszy na
strój pana stolnikowica – dorodnego dziecięcia, poczynają tra-
cić siłę. Rozwierają się, wypuszczają go na wolność. Odskoczył,
dobył szabli, zaświecił nagą głownią w oczy Oboleńskiego.

– Będziesz posłuszny?

– Odpustitie winy mnie, grzesznemu – rzekł Borys spo-
kojnie. – Jestem posłuszny. Nynie i prisno, i wo wieki wiekow.
Amin.

Moskał wyciągnął rękę, ujął krzyż z takim trudem, jakby
była to grobowa płyta, ucałował w sam środek niedźwiedziej
głowy.

– Jesteś mój, Borysie. Mój sługa! Mój rab! Mój pies!

– Tak, ojczulku Jacku Aleksandrowiczu.

– Znaj, grubianinie, politykę! – warknął Dydyński, a potem jednym ruchem dzielił Borysa rękojeścią szabli w policzek, pozostawiając tam ciemnoczerwoną krechę. Doprawił z góry, w podbródek, wziął zamach i rąbnął w sam środek wygolonego łba pokrytego odrastającą czarną szczecina włosów.

Moskal zajęczał, zadygotał, i tak ledwie żywy; aż trudno było uwierzyć, że jeszcze znosi to wszystko.

– To była pierwsza lekcja pokory – wycodził przez zęby Dydyński. – Myślę, że od tej pory będziesz świadomy, jaką władzę nad tobą daje mi Chrest i Słowo.

Borys pokiwał zakrwawioną głową, wyciągnął dygoczącą rękę ku lewicy Dydyńskiego, ostrożnie ujął ją, przekręcił się na bok, a potem ucałował dłoń poranionymi wargami. Zdawał się pokorny jak pies, ale jego oczy pozostawały czujne i bystre.

To pokonało gniew szlachcica. Dydyński opuścił szablę.

A w chwilę później podniósł ją do obrony, bo Borys chwycił Niedźwiedzi Chrest, a potem... To było wprost jak sen – zmiażdżył go w zębach, jakby chciał odgryźć górne ramię krzyża. Nie uczynił tego, nie miał dość siły albo drewno okazało się zbyt twarde; pozostawił na nim tylko wyraźny ślad. Chwycił krzyż drugą ręką, próbując nieudolnie złamać go albo zgnieść.

– Wspomożycie, ojczulku – jęknął bezradnie. – Rzućcie w ogień, bo mnie sił nie chwatajet!

Dydyński zaskoczony ścisnął Chrest w rękę. Żal mu było rozstawać się z krzyżem, czuł jednak, że stał się świadkiem jakiejś ceremonii, której nie do końca był świadom, a każdy błąd mógł okazać się równie doniosły co upuszczenie gorejącej głowni do otwartej beczki prochu.

Odwrocił się w stronę gruby, w której płonął ogień rozpalony zapewne na polecenie sług Maryny, i niewiele myśląc, cisnął drewniany Chrest w płomień. Niedźwiedzi łeb zamigotał, rozjarzył się ogniem. Spłonął w poszeptach i trzaskach płomieni. Rozpadł się po długiej chwili na popiół i gorejące

węgle. Znikł i szczeł, jak gdyby nigdy go nie było. Tak znikł ostatni świadek przymierza między Jackiem i Borysem. Lisem i niedźwiedziem. Lachem i Moskałem.

A kiedy Dydyński odwrócił się do Borysa, opadły mu ręce. Moskal leżał nieruchomo, z krwią sączącą się ze świeżych ran, oklapnięty na słomianym barłogu, niczym martwy tur. Gdy stolnikowic przyskoczył bliżej, przerażony, że właśnie zyskał tyle wiernego, co martwego sługę, usłyszał cichy, równy oddech. Wycieńczony więzień spał snem sprawiedliwego, ani troszcząc się o jutrzejszy dzień.

A Jacek Dydyński wpakował sam siebie w taką kabałę, że sam już nie wiedział, co czynić.

Otarł pot z czoła i przeżegnał się.

– Ratujcie mnie, święci pańscy – jęknął cicho.

Niestety, święci milczeli.



swiatksiazki.pl

Kup w świecie książki